

darczyc, potwierdzenie tych przypuszczeń znaleźć można w wykazach głównego urzędu wywozu i przywozu. Tymczasem przywóz ostatnimi czasy nie przekroczył, o ile wiadomo, zwykłych granic. Gdyby zaś działać tu miała, jako przyczyna główna, nowa emisja marek polskich, równoznaczna z obniżeniem wartości tej marki, zniżka ta wyraziłaby się musiała w podroźeniu wszelkich wartości, wyrażanych pieniężnie w markowej walucie. Między innymi podniosłaby się cena akcji. Tymczasem nastąpiło to dopiero w ostatnich dniach; przytem zwykła kursów papierów dywidendowych jest chwiejna i nieustalona.

Należy zatem szukać gdzieindziej przyczyny tak gwałtownego popytu na obce pieniądze. Przyczynę tę znaleźć można przede wszystkim w niepokojących pogłoskach, rozsiewanych przez różne ciemne indywidua. Mniej krytyczna część opinii, nadmiernie wrażliwa na wszelkie, nawet fałszywe alarmy, zawsze jest, niestety, gotowa poddawać się wpływowi tych zmyśleń, rozpowszechnianych z widoczną złą wolą. Dla tej właśnie części opinii jakkolwiek najbardziej nawet prosta rekonstrukcja gabinetu, wywołuje widmo przesilenia, jeżeli nie — „rewolucji” (!); jakkolwiek wymiana not dyplomatycznych — jest zapowiedzią „niehybnej wojny” — i t. d.

W tej atmosferze chimerycznie rozbudzonej wyobraźni, lęgną się różne straszdyła, przede wszystkim jednak znajduje rezonans popularny dowcip warszawski: „Onufry — pakuj kufry!”.

Ta właśnie tkwi główna przyczyna niesprawiedliwionej zwyżki kursów walut obcych. Ten, kto widzi „ogonki” przed biurem paszportowem, kto ma możność stwierdzenia, kto i dla jakich celów nabywa obie waluty, — nie może dłużej wątpić, że popyt na te waluty jest wywołany w wysokim stopniu lekkomyślnie i powinien znaleźć energiczne przeciwdziałanie.

O ile wiadomo, kroki w tym kierunku już poczyniono.

Z giełdy.

Powyżej omówiliśmy już znamioną cechę nastrojów giełdowych w tygodniu ubiegłym. Tu dodamy tylko, że w końcu okresu sprawozdawczego dało się zauważyć pewne osłabienie popytu na obce waluty.

Na rynku papierów dywidendowych przeważnie odczuwać się dawał zastój, jednakowoż w ostatnich dniach nastąpiła zwyżka kursów. Papiery procentowe, jak zwykle, nie dały powodu do poważniejszych obrotów.

Ceny metali szlachetnych, w obrotach pozagiełdowych, znacznie poszły w górę.



Zeznanie umierającego.

Zamordowano bankiera Waldemara Mödlinga i ograbiono jego mieszkanie z pieniędzy i kosztowności. Zbrodnia została popełniona w warunkach, dla policji śledczej jaknajfatalniejszych. Najcelniejsi wywiadowcy kopenhaski głowili się nad rozwiązaniem tajemnicy.

Mödling zajmował osobny niewielki domek, frontem wychodzący na podmiejską aleję spacerową, tyłem na wąską, najczęściej zupełnie pustą uliczkę, zabudowaną nowym granitem. Stał się ten wypadek w porze letniej, gdy pani bankierowa z dziećmi, nauczycielką i służącą, bawiła nad morzem. Ofiara przestępstwa, Mödling, kantor swój posiadał w śródmieściu. Dwa pokoje, jakie zajmował zwykle w sezonie „słomianego wdowieństwa”, porządkował woźny biurowy. Przychodził zwykle o godz. 8 z rana, o 10 zaś powracał do banku. To znaczy, że bankier w ciągu dwóch miesięcy letnich mieszkał najzupełniej samotnie. Owe dwa pokoje znajdowały się na parterze, z oknami od pustej ulicy.

Zbrodniarz po wygnieceniu szyby, podważył zasówkę u okiennicy wewnętrznej, musiał zaś być wytrawnym mistrzem w fachu przestępczym, jeżeli podczas tych operacji potrafił nie obudzić lokatora. Mödling miał wadę, która sprzyjała zresztą zamiarom złoczyńcy. Mianowicie, przed pójściem na spoczynek, lubił zaglądać do butelki. Był to typ t. zw. pijaka-samotnika, pozatem wszyscy znali go jako porządnego człowieka.

Śledztwo spoczywało głównie w rekach

Knuta Verjahna, policjanta doświadczonego i zdolnego. Dyrektor policji powierzał mu rozmaite zawię śledztwa i nigdy się na nim nie pomylił.

Lecz na ten raz policjant znalazł się w ogromnym kłopotcie. W sypialni spoczywał blady i zimny trup z wielką miazdżoną raną na głowie. Zbrodniarz zdruzgotał mu czaszkę jego własnym, marmurowym, ciężkim przyciskiem, po który sięgnął do biurka. Przycisk o kształtach ostro ściętych, stanowił oręż w sam raz przydatny do rozbijania czaszek. Leżał ten przedmiot obryzany krwią i mózgiem na dywanie, o pięć kroków od łóżka. Na stoliku nocnym pozostawiono gruby, okazały, prawdziwie bankierski pugilares ogołocony z zawartości. Zabójca zabrał złoty zegarek i bogate pierścienie. Pozatem, jak się zdaje, nic więcej nie brakowało.

Pierwszy spostrzegł zbrodnię, już wiadomy woźny Gilbrans. Jak zwykle, przyszedł od strony pustej uliczki, iżby pukaniem w szybę obudzić pana, który otwierał mu drzwi frontowe. Na widok rozbitej szyby i odsuniętej okiennicy, Gilbrans wsunął głowę do pokoju, ujrzał trupa i z krzykiem pobiegł na najbliższy posterunek policyjny.

Verjahn zajeżdżał na rowerze w niespełna pół godziny po zawiadomieniu. Zbadał obydwa pokoje, obejrzał mieszkanie górne, zwiedził strych, piwnicę i wogóle wszystkie zakątki. Ogłędziny zwłok nic mu nie powiedziały, jak wogóle wszystko co tu znalazł. Gdy się w dodatku przekonał, że cała podłoga sypialni była pokryta brązowo-żółtym dywanem, jego zakłopotanie nie miało granic. Wzruszył ramionami i ręce opuścił niezaradnie.

— Tfu, do licha ciężkiego, zbrodnia bez żadnych śladów! — mrucał do przybyłych za nim policjantów. — Coś podobnego jeszcze mi się w mojej praktyce nie zdarzyło. Na domiar nieszczęścia, ten przeklęty bruk granitowy, czyści jak na łożość, ani na milimetr nie osłonięty warstwą piasku lub kurzu. Zabójca nie wleciał tu wszak aeroplanem i chyba nie był zupełnie nagi. Ani odrobiny śladów, powiadam wam, ja stary Verjahn, który łapał ptaszków na lądzie i morzu...

Zameldował o swoich kłopotach szefowi wydziału śledczego i z góry zastrzegł się, że za pomyślnie rozstrzygnięcie sprawy nie bierze na siebie odpowiedzialności.

— To trudno — wyjaśniał — z powietrza niepodobna wyciągnąć prawdy.

Tem niemniej, nie mając nic do czynienia na miejscu popełnionej zbrodni, chodząc i wędrując po zakamarkach miasta. Pomimo wszystkich zastrzeżeń, przedstawionych zwierzchnikowi, sumienie uczciwego policjanta nie dawało mu spokoju ani na chwilę.

Upłynął miesiąc jeden, drugi i trzeci, nie przynosząc ani cienia nadziei. Ścisłe zbadanie woźnego Gilbransa nie dało nic literalnie. Nie trzeba było posiadać talentów Sherlocka Holmesa, aby na pierwszy rzut oka nie wynieść wrażenia, że dawny sługa bankowy jest uczciwym i czystym człowiekiem. Tak samo, natychmiastowy powrót pani Mödling, ani jednym atomem nie przyczynił się do rozwiązania krwawej szarady.

Cała historia istotnie zakrawała na cudowną.

Pewnego wczesnego poranka, obudził Verjahna dzwonek telefonu.

To szef wydziału śledczego, głosem zdradzającym wzruszenie, oznajmił:

— Przybądź pan natychmiast. Zabójcę bankiera Moedlinga mamy w ręku!

Policjant wpadł jak nieprzytomny do biura ekspozytury. Osobą, którą tam ujrzał oprócz zwierzchnika, był młody jeszcze, ciemno ubrany pan ze strzyżoną bródką i jasnymi, sentymentalnie obwisłymi wusami.

Nieznajomy przedstawił mu się. Był to pastor jednej z pobliskich parafii.

— Nocy dzisiejszej — powtórzył swoją relację już raz złożoną szefowi — byłem wezwany dla udzielenia ostatniej pociechy religijnej umierającemu. Właściwie, powinienem być może ukryć to, tembardziej, iż o ile wiem, za zabójstwo bankiera Moedlinga nikt niewinny odpowiedzialności nie ponosi. Ale istnieje obowiązek obywatela swego społeczeństwa... Jednym słowem, stary Bentsen, zaraz podam jego adres, a zresztą on już nie żyje, przyznał mi się, iż on to zamordował bankiera. „Nikt inny — dodał, ciężko stękając — nikogo też nie miejcie w podejrzeniu”...

— Bentsen, Bentsen? — powtórzył policjant. — Dziękuję panu pastrowi za łaskawe

relacje. W istocie, gdyby nie to jego przedśmiertne przyznanie się, sprawa musiałaby pójść do akt. Bardzo dziękuję.

Verjahn szedł za adresem, na ten raz wcale się nie spiesząc. Dążył umyślnie wybrakowanymi ustronnymi uliczkami, zamiast iść drogą prostą, krótszą. Kalkulował coś i rozważał przy czem wargi mu się poruszały.

— Tak, to się zgadza — mrucał do siebie, silnie gestykulując i nie zwracając uwagi na ludzi, którzy się za nim oglądali, jak za dziwakiem.

Nagle skręcił w jedną z poprzecznych ulic i wkrótce znalazł się na ulicy głównej, zabudowanej wyniosłymi domami. Wszedł do jednego z nich i w drugim podwórzu, spiesząc po stromych schodach, dostał się na poddasze.

W ciasnej i brudnej izbie, za stołem, wsparty na łokciach, siedział mężczyzna o ponurej, nieprzyjemnej fizjonomji. Ćmił fajkę co chwila spluwając na podłogę.

Na widok gościa, człowiek ten zezwał się odruchowo, cofnął pod ścianę i zrobił ruch ręką jakby dla sięgnięcia do kieszeni.

— Stój! — zawołał dedektyw i błyskawicznie wymierzył rewolwer. — Ręce do góry, bo kula w łeb! Aresztuję cię w imieniu prawa, zabójco Moedlinga, Jahnsie Dreger!...

Obliczenia starego wygi policyjnego sprawdziły się co do joty.

Bentsen, znany bandyta, już od roku przeszło sparaliżowany, nie mógł być zabójcą bankiera. Był to rodzony wuj Dregera, ongi wspólnik rabunków i wytrawny jego doradca.

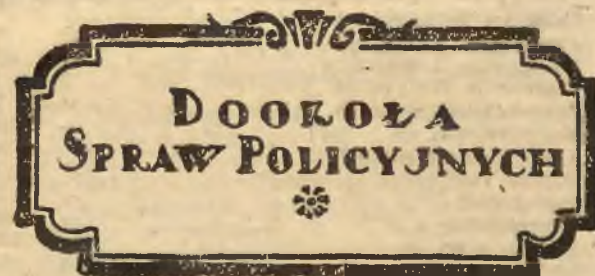
Stary zbrodniarz prócz tego, znany był policji z licznych, zawsze sprytnie obmyślanych sztuczek i „kawałów”.

I na ten raz, dla oszukania sprawiedliwości, łotr wyzyskał chwilę swego konania dla zaślonecia przestępstwa popełnionego przez siostrzaną.

Usłyszawszy nazwisko draba, który z przyczyny ciężkiej choroby już wyszedł z obiegu, wytrawny wywiadowca ukartował plan, który go nie zawiódł.

Dreger był właśnie zabójcą bankiera, on też zawisł na szubienicy.

Tłumaczył
F. R.



Likwidacja Kom. P. P. b. dz. pruskiej.

Rozporządzeniem z dnia 25 maja 1921 r. poz. 132 Dziennika Urzędowego Ministerstwa b. dz. pruskiej została zniesiona Komenda P. P. dla b. dziel. pruskiej.

Celem zlikwidowania dotychczasowych agend tej komendy oraz jej biur, wydano nast. zarządzenia, oparte na porozumieniu władz powołanych w myśl art. 2 tego rozporządzenia do likwidacji:

1) Z dniem 29 b. m. przestaje komenda P. P. dla b. dz. pr. funkcjonować jako organ, opatrzone kompetencjami, opartymi na rozp. z 11 czerwca 1920 r. poz. 264 Dz. Urz. i przechodzi w stan likwidacji.

2) Celem załatwienia wszystkich spraw rozpoczętych przez tę komendę, a dotąd jeszcze przez komendy okręgowe nie załatwionych, mają obie komendy okr. przedłożyć wszystkie te sprawy Kom. P. P. dla b. dz. pr. w likwidacji, celem ich ostatecznego wykończenia i przedłożenia wyższym władzom.

3) Dopóki budżet policyjny nie będzie uchwalony, mają obie komendy okr. wnosić o przyznanie potrzebnych kredytów wprost do ministerstwa b. dz. pr. departamentu spraw wewnętrznych.

4) Zastrzeżone pismem komendy P. P. b. dz. pr. z dnia 30 sierpnia 1920 r. L. dz. 170/20 t. na podstawie reskryptu ministerjalnego z 27 sierpnia 1920 r. L. dz. 5 II d. 608/20 prawo decyzji o wydatkach ponad 25,000 mk. przechodzi w tym samym rozmiarze na ministerstwo b. dz. pr.

5) Wykazy periodyczne będą komendy okręgowe przedkładały swym władzom wprost.

6) Co do rozdziału ruchomości komendy dzielnicowej, wydane będą w chwili ukończenia likwidacji osobne zarządzenia.